



Mluvíme česky

MICHAŁ KURKOWSKI

Wyjeżdżałem do Brna mając jeszcze w pamięci cudowną atmosferę festiwalu Setkaní/Encounter, w którym uczestniczyłem w kwietniu zeszłego roku. Pamiętam, że tamtych kilka dni dało mi możliwość pocucia się częścią międzynarodowego teatralnego świata i tym mocniej uzmysłowiło, że od kiedy trafiłem do PWST, przestałem być w teatrze tylko widzem, a stałem przede wszystkim przyszłym twórcą. Uczestnictwo w festiwalu było więc ważnym dla mnie doświadczeniem. Było nas tu wtedy kilkanaście grup młodych artystów ze szkół teatralnych. Byli studenci zarówno z Niemiec czy Słowacji, jak i Korei Południowej, Kolumbii czy RPA.

Każdy zespół chciał pokazać się z jak najlepszej strony, traktując festiwal nie tylko jako szansę na zwycięstwo w konkursie, lecz także – a może przede wszystkim – jako szansę na nawiązanie kontaktów, mogących w przyszłości procentować oryginalnymi projektami. Atmosfera zdecydowanie sprzyjała zawiązywaniu takich znajomości, żeby wspomnieć tylko wspólne imprezy, organizowane przez JAMU, czy wieczorne spotkania w festiwalowych barach. Wyruszając więc z domu myślałem, że już znam miasto; stworzyłem sobie pewne wyobrażenie, nie tylko o szkole czy studentach, lecz także o mieszkańcach i turystach, odwiedzających stolicę Moraw.

W tym wyobrażeniu wszystko miało żyć teatrem i sztuką na kształt tych miasteczek w Stanach Zjednoczonych, w których to uniwersytet wyznacza kierunek rozwoju dla całej okolicy. Tak jest przecież chociażby w Winston-Salem, gdzie mieści się University of North Carolina School of the Arts, i tak też miało być w Brnie.

Nie wyjeżdżałem więc z tą myślą, która towarzyszy każdemu erasmusowskiemu stypendyście: „Oto czeka mnie przygoda i muszę wykorzystać każdą chwilę tak, żebym w przyszłości miał co opowiadać swoim dzieciom, a dzieci wnukom, a wnuki swoim dzieciom”, lecz raczej z przeczuciem, że Brno po raz drugi pozwoli mi zbliżyć się do międzynarodowego świata teatru, do idei, która prawdopodobnie zrodziła się we mnie, kiedy jako dziecko zabrany zostałem na *Dziadka do orzechów* w Teatrze Wielkim w Warszawie. W każdym razie znalazłem się wreszcie w pociągu, a w nim oprócz współpasażerów, walizek i książki miałem za towarzyszy nadzieję i wyobrażenia o czekającym mnie pobycie; już byłem zaangażowany we wszystkie studenckie projekty, już inicjowałem kolejne akcje, a nawet zdążyłem zostać głównym organizatorem festiwalu. Wszystko to w podróży. Nie była to jednak podróż w nieznaną, jaką powinna prawdopodobnie być wyprawa studenta na zagraniczne stypendium, ale raczej dobrze zorganizowany wyjazd, którego cel był dość jasno określony. Grunt pod realizację tego celu zacząłem przygotowywać już na początku wakacji, kiedy zdecydowałem się na odnowienie kontaktów nawiązanych podczas Setkani/Encounter. Nie było ich może dużo, ale wiedziałem, że wystarczy na spędzenie tych pierwszych dni w dobrym towarzystwie, które – miałem nadzieję – pomoże mi w znalezieniu się pośród najbardziej aktywnych studentów JAMU (liczyłem też na małe wsparcie

w przyswajaniu wszystkich nowych zwyczajów, które musiałem zrozumieć, mieszkając w Czechach). Z pewnością z niczym bym sobie nie poradził bez Jitki, mojego *Erasmus buddy*, która w dniu przyjazdu oczekiwała na mnie na dworcu. Jitka była nieoceniona; nie dość, że pomogła mi załatwić wszystkie formalności (te związane z ubezpieczeniem okazały się najtrudniejsze) to jeszcze wskazała miejsca godne odwiedzenia i zapoznała ze swoimi przyjaciółmi; co najważniejsze – po polsku. Języka nauczyła się w trakcie stypendium na Wydziale Malarstwa ASP w Łodzi (obecnie jest na trzecim roku scenografii JAMU).

Byłem więc w Brnie i było to dziwne uczucie – nie takiego uczucia się spodziewałem; spodziewałem się długo trwającej ekscytacji, spodziewałem się, że od razu wpadnę w wir działań twórczych, że to właśnie tutaj teatr stanie się wreszcie moim pierwszym domem. Tymczasem początkowo, zamiast zgłębiać zarówno zawilości historyczne, jak i współczesne zjawiska czeskiej sztuki scenicznej (a właściwie zamiast wymarzonego przeze mnie zbliżenia się do tego, co nazwałem międzynarodowym światem teatru), zacząłem tworzyć sobie sieć znajomych, ostatecznie w małej części złożonej z Czechów, a w większej z Hiszpanów, Finów, Portugalczyka, Turka, Islandczyka, Łotysza i Słowaka, którzy do tego dziwnego miasta trafili w tym samym czasie co ja. Dlaczego dziwnego miasta? Brno jest bowiem niedoprecyzowane; Brno nie wie, jakie jest; Brno jest w zawieszeniu, jakby bezustannie pytało o to, jakie ma być. Brno właściwie nie wie nawet gdzie się znajduje, bo niby jest jeszcze trochę w Czechach, a trochę jednak już w Austrii. Brno (JAMU) jest trochę jak te miasta w Stanach (uniwersytety) o których wyżej (i ma ten potencjał!) a trochę jak jedno z wielu miast powyżej 500 tysięcy, ze wszystkimi prowincjonalnymi kompleksa-

mi, niewykorzestowanymi przyzwyczajeniami i dziwakami, których każdy zna. Brno – co widać na co dzień – chciałoby się jakoś rozwinąć, ale robi to jak ślepiec, któremu kazali iść prosto, więc chcąc utrzymać kurs, łapie się wszystkiego, co znajdzie pod ręką, a i tak prosto nie idzie. Znalazłem się więc tutaj w tym międzynarodowym towarzystwie, które jednak nie podzielało moich marzeń i wyobrażeń o tym, co możemy tu zrobić. Czy wiele mogliśmy? Mnie wydawało się, że tak – przecież widziałem, co działo się tu pół roku wcześniej; widziałem tłumy młodych przewalających się ulicami, młodych, którzy pędzili do teatrów, a w oczach mieli pytanie: „Czy zdążę na kolejne przedstawienie?”. Niestety, spojrzenia moich nowych przyjaciół były znacznie trzeźwiejsze (nie widzieli tamtego wygłodniałego towarzystwa). Ja pytałem, co mogą zrobić, oni pytali, co mogą robić, albo może właściwie – „Co by tu porobić?” i moje oczy doprowadziły mnie do tego, że w ciągu jednego tygodnia byłem zapisany na zajęcia z historii teatru, musicalu, z interpretacji współczesnego dramatu oraz projekcji sztuk współczesnych (w ramach których wygłosiłem wykład o najważniejszych obecnie reżyserach w Polsce). Oprócz tego miałem taniec współczesny, sceniczny i stepowanie, dwa języki, projekt teatralny (zrealizowanie przedstawienia), projekt badawczy (oglądanie spektakli w miejscowych teatrach i pisanie z nich recenzji) a w grudniu zobowiązano nas do asystowania przy realizacji dyplomu studentów wydziału wokalnego.

Gdzie czas na wyjazd do Pragi? Kiedy mam pójść do Opery Wiedeńskiej, czy znajdę kilka godzin na Albertinę, Belvedere, Muzeum Leopolda... To pytania pierwszych październikowych tygodni. W każdym razie byłem w Brnie, i to byłem tak bardzo, że aż zapisany na większość dostępnych mi przedmiotów. Myślałem o odkryciach, czekają-

cych mnie po przekroczeniu progu JAMU i wiedziałem, że wszystko będzie zależało ode mnie – wszystko, czyli to, ile zyskam na wyjeździe. Sprawa jednak okazała się nie tak prosta; zawsze warto zapytać, na ile ważna przy mierzeniu postępów jest wola studenta, a na ile poziom prowadzenia zajęć, zaangażowanie pedagogów i program ułożony przez uczelnię. I tu śmiało mogę powiedzieć, że moja sytuacja w JAMU była dość szczególna ze względu na to, że studiowałem jednocześnie zarówno z Erasmusami, jak i z Czechami. To pozwala mi trochę odważnie wypowiedzieć się na temat zalet i wad czeskiej edukacji teatralnej.

Zaczynając od tego, co w Brnie zostało zaofiarowane gościom z zagranicznych uczelni; jako student reżyserii oczekiwałem, że jeżeli już zostaną oddzielony od Czechów, to mimo wszystko będę mógł rozwijać się w tym kierunku, który wybrałem, składając papiery na PWST. I tu właśnie pojawiło się pierwsze rozczarowanie – oddzielony grubym murem od Czechów, miałem ograniczony wybór przedmiotów reżyserkich (tu wliczam również te teoretyczne, dotyczące choćby historii teatru) do trzech – projekcje sztuk współczesnych, trwające cały semestr, asystentura przy realizacji przedstawienia (próby ruszyły pod koniec listopada) i projekt teatralny (próby ruszyły w styczniu). Nie zostałem szczególnie obłożony obowiązkami, ale przyznaję, że inspirująca była dla mnie możliwość poznawania i oglądania przedstawień, które co tydzień przynosili doktoranci wydziału reżyserii (od Marthalera, przez Hermanisa, do Klaty i Schimmelpfenniga), dało mi to bowiem szansę nieco przybliżyć sobie tę różnorodność języków, używanych na scenach europejskich teatrów. Jeżeli zaś chodzi o asystenturę, to ciekawie było móc pracować z czeskimi aktorami i technicznymi, nad którymi próbował zapanować profesor z Lon-

don University of Goldsmith, reżyserujący dyplom. W tej pracy nieoceniona okazała się moja językowa bliskość ze studentami, połączona z dobrą znajomością angielskiego. Warto też wspomnieć o przedstawieniu, zagranym przez naszych kolegów aktorów z Hiszpanii, Turcji i Portugalii. Odnieśliśmy iście międzynarodowy sukces.

Jak już pisałem, obok tych trzech reżyserkich propozycji dostaliśmy całą gamę zajęć możliwych do zaliczenia w ramach programu dla aktorów – tu właśnie znalazły się przedmioty takie, jak chociażby stepowanie, taniec sceniczny czy taniec współczesny. Jednak, mimo że prowadzone były one na wysokim poziomie, a i sam zmobilizowałem się do nieopuszczenia ani jednego zajęcia, to nie będę opisywać, jak z naszych (moich) początkowo niezgrabnych ruchów, zaczęliśmy (zacząłem) dochodzić do perfekcji w odtwarzaniu kilku podstawowych sekwencji. Grunt, że dzisiaj mogę napisać, jak dumny jestem ze swoich postępów. Właśnie w trakcie zajęć ruchowych zostaliśmy wymieszani z młodzieżą JAMU – odkrycie, jak otwarci i przyjaźnie są nastawieni do zagranicznych studentów, dało mi impuls do zapisania się na kilka przedmiotów wydziału reżyserii. Wybór skonsultowałem ze znajomą Jitki – poleciła mi pięciu wykładowców, spośród których wybrałem trzech i były to strzały w dziesiątkę. Przede wszystkim wiele dały mi cotygodniowe spotkania z Markiem Horošćakiem, który zajmuje się współczesnym dramatem – czytaliśmy Caryl Churchill, Marka Ravenhilla, Laurę Wade oraz (specjalnie dla mnie) Petra Zelenkę i Davida Drábka. Zdecydowałem się też na historię teatru, trafiając na szczegółowe omówienie twórczości Antonina Artauda, a wreszcie historię musicalu, którego prowadząca okazała się fanatyczną wielbicelką Boba Fossego oraz Johna Kandra i Freda Ebba. Muszę przyznać, że nie tylko profesorowie byli

zaangażowani i w ciekawy sposób dzielili się swoją wiedzą, lecz także i studenci – zawsze przygotowani, a przede wszystkim chętni do dyskusji.

Trudno mi jednoznacznie ocenić, jak wiele wiedzy o teatrze wyniosłem z samego JAMU. Jednak podczas tego pobytu nie żyłem tylko tym, co dawała mi szkoła, lecz także i tym, po co sam mogłem sięgnąć oraz tym, co przypadkiem udawało mi się zdobyć. Tu należy wymienić moje wizyty w Wiedniu, w trakcie których odwiedziłem chyba najpiękniejsze europejskie muzea oraz miałem możliwość oglądać przedstawienia zarówno w Burgtheater, jak i Operze Wiedeńskiej, a przede wszystkim mogłem oddychać magią tego cudownego miasta (spacerując po nim, czułem w powietrzu zapach sonat Beethovena i słyszałem pieśni Schuberta, wyczuwałem odwagę Sobieskiego, słysząc jednocześnie szelest kartek Freuda i zgrzyt pióra Musila). Ale nie tylko Wiedeń dostarczał mi podnieć; również wizytę w Pradze mogę uznać za niezwykle wartościową (*Sprawa Makropulos* w reżyserii Roberta Wilsona) a wreszcie i Brno zadziwiło mnie kilkakrotnie. To miasto bowiem, próbując podźwignąć się z marazmu, szuka własnego języka, który pozwoliłby uciec od kulturalnego zastania, w jakie popadło w ostatnim czasie. Przede wszystkim, działa tu kilku zdolnych reżyserów teatralnych, będących na bieżąco z europejskimi trendami – warto zapoznać się z nazwiskami Jana Mikuláška oraz nieco starszego Vladimíra Morávka; ponadto stolica Moraw, dumna ze swojego kompozytora Leoša Janáčka, postanowiła stworzyć poświęcony mu festiwal, na którym (w 2012 roku była pierwsza edycja) pojawili się ze swoimi przedstawieniami tacy artyści, jak Robert Carsen (*Sprawa Makropulos*) i Harry Kupfer (*Katia Kabanowa*). tutejsza opera coraz częściej zatrudnia zagranicznych reżyserów

i to zarówno z Austrii i Słowacji, jak i Niemiec oraz Polski, którą reprezentował ostatnio Laco Adamik, poznany przeze mnie za pośrednictwem PWST w trakcie ostatnich prób do *Nieszporów sycylijskich* Verdiego. Spotkanie to uważam za jedno z ciekawszych czeskich doświadczeń.

Czas było wyjechać z Brna po tych czterech miesiącach życia pośród Czechów. Spędziłem tu koniec lata, całą jesień, część zimy. Poznałem ten dziwny naród, którego charakter jest specyficzną mieszanką wpływów austriackich, niemieckich, polskich, naród, który słynie z kilku wielkich pisarzy, kilku wielkich reżyserów, malarzy, rzeźbiarzy. Naród dumny ze swojego miejsca w historii, a przy tym i naród, który próbuje odnaleźć swoje miejsce na mapie współczesnej Europy. To poszukiwanie miejsca było częstym tematem rozmów, w które wdawałem się z rówieśnikami z JAMU. Studenci tej szkoły mają bowiem świadomość konieczności i potrzebę zaistnienia we współczesnych kontekstach kulturowych, stąd też – jak mówią – tak duże ich zaangażowanie nie tylko w organizację festiwalu Setkani/Encounter, lecz także ogromna ciekawość podobnych imprez za granicą oraz zainteresowanie sztuką europejską (w ramach tych poszukiwań odbywało się wspomniane przeze mnie seminarium z projekcji sztuk współczesnych). Po pewnym czasie mojego tam przebywania zostałem zarażony chęcią dyskusji o tym, jak można przebijać się z inicjatywami rozwijanymi wokół szkoły (ponieważ niemal całe życie kulturalne w tym mieście jest z JAMU związane) oraz – co jest prawdziwą zmurą czeskiego teatru – o tym, jak odejść od języka sceny ukradzionego z zagranicy (przede wszystkim z Niemiec) i pokazać, że i dzisiaj *Češi svůj jazyk mají. Mluvíme česky.*